

Adam Czarnowski

WIGILIA NA ZAZAMCZU

Dom stał na skłonie doliny bystrego potoku. Przysadzisty, z głęboko nasuniętym dachem gontowym. Z daleka było widać białe, masywne mury, małe okienka, obrośnięty pnączami ganek na słupkach. Opowiadano, że dom ten trwa parę już wieków, od czasów „państwa muszyńskiego” biskupów krakowskich, gdy na sąsiednim wzgórzu istniał jeszcze zamek – dziś w ruinie. Dawną przeszłość zdają się potwierdzać rosące obok potężne lipy, grube, przeżarte przez grzyb i wilgoć ściany, no i chyba reumatyzm przekazywany według tradycji kolejnym pokoleniom mieszkańców, leśniczych dóbr muszyńskich.

Ta właśnie leśniczówka związała się z początkiem mojej górskiej edukacji. Wtargnęła podstępnie do świadomości, jako kilkuletniego chłopaka, urzekła tajemnicą zakamarków, starych rupieci i wielością przydatnych, ale dla wybrańców losu, przedmiotów. Odkrywałem więc tornistry i plecaki, kurtki i peleryny, długie i krótkie, ciężkie buciory, nieprzebraną mnogość okutych lasek z dziwaczными uchwytami. Obok stały narty i kije, wisiały dubeltówki, ładownice oraz wszelki sprzęt myśliwski. Wszystko spowijała woń pleśni, skóry, wilgoci.

Leśniczówkę na Zazamczu w Muszynie ujrzałem po raz pierwszy w zimie 1927 roku. „Przyszywany” stryj, leśniczy, zaprosił wtedy moich rodziców na święta Bożego Narodzenia. Życie towarzyskie leśniczówki skupiało się głównie w obszernej, obwieszanej porożem sieni i przyległej jadalni. Wielki kominek, połączony z piecem o dwustronnych ścianach, ogrzewał wyziębione bezlitośnie mury. Grube polana płonęły przez całą dobę, bo zima była tęga. Duszą towarzystwa byli miejscowi i przyjezdni leśnicy – myśliwi oraz studenci, głównie z Krakowa. Wszyscy byli rozmiłowani w łazikowaniu górskim. Nasłuchiwałem się więc barwnych, pełnych przygód opowieści o wyprawach w niezbyt jeszcze uczęszczane okolice Beskidu Sądeckiego, w dzikie roztoki i mateczniki resztek karpackiej prapuszczy. Padały egzotyczne dla mnie nazwy: Lembarczek, Runek, Kotylniczny Wierch... Wychwalano uroki kwitnących latem polan, z których roztaczały się szerokie widoki na okoliczne szczyty i dolinę Popradu. Sugestywnie przywoływano tajemnice górskich zakątków, spotkania z jeleniami, rysiami, dzikami. Trzask bierwion w kominku zdawał się wtórować wymaginanym, leśnym odgłosom. Wtedy to obudziło się we mnie owo COŚ, budujące etos górskiego łazika, powstał zaczyn przyszłych, odkrywczych wypraw.

To, co teraz opowiem, zdarzyło się dziesięć lat później. Znowu zjechaliśmy do leśniczówki na święta Bożego Narodzenia. Znowu zebrało się doborowe, pełne humoru towarzystwo. Ja, wprawdzie już maturzysta, byłem w tym gronie najmłodszy, ale chodziłem już sporo po górach i miałem ambicje, aby innym dorównać.

Pozostało jeszcze trzy dni do Wigilii, gdy narodził się pomysł wycieczki na najwyższy szczyt okolicy, jak mówili miejscowi: Jaworynę. Zachęcała słoneczna ostatnio i bezwietrzna pogoda. Wabiły słynne, rozległe widoki i możliwość długich zjazdów narciarskich. – Jedźcie saniami do doliny Szczawnika aż po Żebracze – mówił leśniczy. – Podejdziecie pod Kotylniczy, skąd polanami na Jaworynę, zjedziecie na Złockie i na Zazamcze. Po siedmiu – ośmiu godzinach powinniście już być z powrotem. Władek was poprowadzi, a sanie niech zaraz wracają, bo pojedę na stację po ciotkę. Jak wrócicie, ubierzemy choinkę.

Wybraliśmy się w piątek, leśnicy Władek i Tadeusz, dwóch studentów i ja. Naszykowaliśmy niezbędny ekwipunek, zapasy żywności, termosy z herbatą. Zabrałem wielką lornetkę, a leśnicy dubeltówki i amunicję; a nuż jakiś zając lub lis... Wyruszyliśmy po świcie. „Pięciu wspaniałych”, jak powiedział leśniczy, usadowiło się w obszernych saniach. Władek komenderował, a „stryjenka” troskliwie poutykała nam nogi baranicą.

Odległy szczyt Jaworzyny Krynickiej oblekał się różowo-złotą poświatą. Sanna była znakomita i szybko mknęliśmy doliną. Wkrótce minęliśmy starą cerkiewkę na wzgórzu w Złockiem, a po paru kilometrach drugą, we wsi Szczawnik. Byliśmy już w ciasnym wąwozie. Pod śniegiem sączył się strumień. Płozy sań raz po raz zgrzytały po kamieniach. Wokół rósł stary las. Wreszcie Władek wypatrywał ślad dróżki wiodącej w prawo.

– Wsiadamy! – zakomenderował.

Z nartami na ramionach pięliśmy się stromo ku szczytowi Kotylniczego Wierchu. Mijaliśmy małe polany, to znowu pasma lasu. Po dobrej godzinie marszu wyszliśmy na grzbiet. Głęboki kocioł potoku oddzielającego wyniosły szczyt Jaworzyny otaczała obszerna polana Bukowa. Podziwiałem biel śniegu, jakże inną od pokrytej czarną sadzą z kominów Warszawy. Przypięliśmy narty i sunęliśmy śladami Władka. Wkrótce przypięliśmy foki i zdobyliśmy, oznaczony wieżą triangulacyjną, wierzchołek Jaworzyny Krynickiej: 1114 m.

Widok, że można oszaleć, latem nigdy takiego nie oglądałem. Jak na dłoni słowackie Tatry Wysokie z Łomnicą i Lodowym, nieco przed nimi Tatry Bielskie z Hawranem i Muraniem. Na prawo polskie: Czerwone Wierchy i Giewont. Dalej Małe Pieniny, Gorce, Beskid Wyspowy i tuż, tuż grupa Radziejowej. W kryształowym powietrzu widać niemal każde drzewo, budynki. Spojrzałem przez lornetkę; przecież na wprost widnieje rąbek doliny Popradu, a obok nasza leśniczówka, dym idzie z komina...

Oczarowani, a prawie zaczarowani widokiem, później dopiero spojrzeliśmy na północ. Cały horyzont był zaciągnięty gęstą masą chmur. Po chwili zaczął dąć wiatr. – Mała przekąska i szybko wracamy! – zakomenderował Władek. – Na pewno będzie śnieżyca, nie pójdziemy już dziś do Diabelskiego Kamienia.

Wkrótce zjeżdżaliśmy szusem przez wierzchołkowe polany, hamowaliśmy jednak po trochu, aby spokojnie nacieszyć się krajobrazem. Poniżej były już krzewy, las i znowu polany.

Nagle mignęła sylwetka jakiegoś zwierzaka i zaraz druga. Czołowa trójka przyspieszyła. Padły strzały. A pozostali w tyle, wśród których byłem ja, ruszyli w pogoń. I wtedy

sypnęło gęstym śniegiem. Po chwili rozległ się trzask i krzyk. Moi towarzysze wpadli wprost w chaszczę na obrywie doliny. Ja, nieco z tyłu, gwałtownie hamując wywinąłem koziołka, a narty odczepiły się i poszły w dół.

Upłynęło trochę czasu zanim znaleźli się nasi myśliwi i pomogli wygramolić się z krzaków i śniegu. Jak się okazało, moi towarzysze połamali narty i mocno nadwreżyli nogi, a jeden ze studentów mocno stłukł, a może złamał, rękę. Znaleźliśmy się w krytycznej sytuacji. Dał wiatr, śnieżycą przybierała na sile i robiło się mroczno. Żeby chociaż dotrzeć do jakiegoś szałas...

Nagle, z góry, coś zachrzęściło. Z gęstej zawiei wyłonił się koń ciągnący długi pień. Obok szedł chłop w guni.

– Stójcie! – krzyknął Władek. Chłop się przestraszył i zaciął konia batem. Ale Władek chwycił za lejce i przyhamował; rozpoznał Łemka.

– A to wy, Hryćko! Mam tu potłuczonych. Trzeba ich ściągnąć do szałas.

– Nedaleko staraja jedlina, pane, prjame kurin Puchajdy¹.

Wspólnymi siłami udało się nam ulokować potłuczonych w szałasie i rozpalić ogień. Lżej się zrobiło na duszy.

– Na tobie polegam – powiedział Władek do Tadka. – Idź z Hryćką do gajowego w Jasieńczyku, niech przyśle pomoc.

Tymczasem się ściemniło i wszystko znikło w śnieżnej kurzawie. Oczekiwaliśmy, posilając się resztkami zapasów. Godziny wlokły się niemiłosiernie. Dopiero na drugi dzień po południu, gdy ustała zadymka, pojawił się gajowy z podleśnym i Tadeusz, a z nimi... stryj z doktorem; powiadomiono ich z rana i przyjechali dużymi saniami. Skończyło się tylko na potłuczeniach, małych zwichnięciach i połamanych nartach, no i na żartach z myśliwych, którzy niczego nie upolowali.

Wracaliśmy, gdy na czystym już niebie zabłysła pierwsza gwiazda. Na głos dzwoneków sań wszyscy wybiegli z leśniczówki. Następnego dnia zasiedliśmy do wili. Jarzyła się świeczkami tradycyjnie ustrojona, wielka choinka, trzaskały bierwiona na kominku i długo rozlegały się kolędy.²

¹ „Nedaleko stary las jodłowy i prosto szałas Puchajdy” (przyp. autora).

² Powyższe opowiadanie, z małymi zmianami i pod tytułem *Leśniczówka na Zazamczu*, było publikowane w czasopiśmie „Na Szlaku”, nr 12/ 1954 (przyp. autora).